Ze srebra i drewna



Pamięci poległych w I Wojnie Światowej, Oslavje, Park Pevma.

Ryszard Sawicki

Miał krótko przystrzyżone włosy ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Wąsy dochodziły do krawędzi górnej wargi i do kątów ust. Regularne, wyraźnie zaznaczone brwi biegły prosto do miejsca, gdzie łagodnie uginały się ku dołowi. Oczy przykrywały ciężkie powieki, które schodziły poniżej krawędzi tęczówki. Patrzył spod nich raczej smutnym

wzrokiem, którego nie ożywiała żadna wesoła iskra. Można by jego wzrok uznać też za poważny, ale trzeba od razu by dodać, że z powagą mieszał się właśnie odcień smutku, który zazwyczaj wypływa z przeczucia czegoś nieuniknionego, czemu nie można się przeciwstawić, bo i tak będzie co ma być. O tym wiedział patrząc tak właśnie, a nie inaczej. Wiedział, że należy pogodzić się z losem lub raczej z tym, co losem nazywamy, a czego nie potrafimy dokładnie opisać, ani dla czego nie znamy lepszego określenia. Z losem, którego pragniemy, ale i nie pragniemy. Z tym, ku czemu dążymy, ale przed czym chcemy uciec.

Wiedział o tym i nie wiedział zarazem, kiedy patrzył w szklane oko fotograficznego aparatu. Wtedy, gdy znalazł się w górach Dalmacji i dotarł nad wijącą się w krętej dolinie rzekę. Wiedział o swoim losie tyle, ile trzeba wiedzieć, by spoglądać na świat właśnie tak, jak spoglądał: bez szczególnego zainteresowania, ale i bez niechęci, ze współczuciem, ale raczej dla innych niż dla samego siebie.

W budynku szkolnym zamienionym na przyfrontowy szpital znalazł się wraz z kolegami ze służby medycznej. Wkrótce sale przepełniły się rannymi i umierającymi, którymi trzeba było się zajmować, nie miał czasu, by myśleć o tym, co pozostawił za górami, ani też o tych, których pozostawił. Pewnego dnia znalazł jednak chwilę, by napisać list i wysłać go wraz ze swoim zdjęciem. Usiadł przy niewielkim stole w swoim pokoju, rozłożył

kartkę cienkiego, zielonkawego papieru, zaostrzył ołówek i zaczął pisać.

Pisał o srebrze i drewnie zamiast o medalach i drewnianych krzyżach. Użył metafory, by uniknąć interwencji frontowego cenzora, nie mógł nazwać rzeczy dosłownie, nie mógł wyrazić swoich myśli w sposób nieskomplikowany, po żołniersku. Jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że metafory muszą być zrozumiałe dla czytelników, którzy nie wiedzieli nic więcej o wydarzeniach na froncie oprócz tego, co przeczytali w lokalnych gazetach. Chciał opowiedzieć o zdarzeniach, ale nie mógł o nich mówić wprost. Stał się więc mimowolnie poetą. Pisał tak, jakby wierzył, że metaforą można odmienić wojenny los.

Młodszego brata mego dziadka Władysława, Franciszka, znam tylko z jednej fotografii, jednego zachowanego listu i jednej pocztówki. Wiem jak wyglądał, ale nie wiem jak mógłby wyglądać, gdyby dożył mojego wieku. Gdyby postarzał się i zmienił, posiwiał, jak ja. Czy jednak byłby ode mnie bardziej czy mniej siwy, bardziej niż ja jestem teraz, czy może zachowałby ciemne, mocne włosy do późnego wieku, jak jego brat, mój dziadek? Kiedy będę starszy od stryjecznego dziadka, w tym względnym czasie własnej starości, czy będę inny niż on mógłby być? Odpowiedzi nie znajdę, z tym trzeba się pogodzić, jak z wojennym losem. Jak z każdym losem, który raz rozpala, raz wygasza iskry w oczach człowieka, niezależnie od jego woli.

Tylko przeczucie pozostaje nam, nie wiedza, nim popatrzymy w lustro i powiemy sobie: tak, taki jesteś, bo taki miałeś być, takim właśnie się stałeś. Jeśli w ogóle spojrzenie w lustro będzie możliwe. Jeśli dożyjemy takiej chwili.

W przerwie między jednym a drugim ostrzałem artyleryjskim Franciszek pisał swój list i nie wiedział, że dostarcza wiadomości o sobie i o tym, co się wokół niego dzieje, nie tylko tym swoim bliskim, których znał, ale i tym, których nie znał, a których pojawienie się na świecie mógł jedynie przeczuwać, chociaż nie tak, jak się przeczuwa rozwój zdarzeń, które się wysnuwają ze znajomej przestrzeni.

Pisał do swojego kuzyna, ale i do mnie, wnuka swego brata, chociaż tylko kuzyna nazywał w liście po imieniu, mnie po imieniu nazywać nie mógł, bo nawet najbardziej przenikliwe przeczucie nie podpowiada przecież imion wnuków.

Pisał pod datą 6 listopada 1915 roku do Wielmożnego Pana Antoniego Tabińskiego zamieszkałego we Lwowie, przy ulicy Piekarskiej nr 1/1C, na drugim piętrze. Podał też adres zwrotny: Franciszek Sawicki, J.R. 80-Stab, K und K Feldpostamt 212. Pieczątka na kopercie ma datę o dzień późniejszą, czyli 7 listopada. Na kopercie podpisał się też cenzor wojsk austriackich, chyba Kolski, ale nazwisko jest słabo czytelne.

Kochany Anciu!

Fotografie dostałem przed kilkoma dniami, czy Ci już za nie podziękowałem nie wiem na pewno, byłem bowiem tak roztargniony w ostatnich dniach, że nie mam najmniejszego pojęcia co i do kogo pisałem. Powodów do roztargnienia było aż nadto dosyć. Nie wiedziałem sam co mam najpierw robić, czy pisać testament, czy uczyć się po włosku. To pierwsze było wskazane na wypadek nagłej a spodziewanej co minuta jazdy na 28 centymetrówce, drugie zaś omal się nie przydało podczas również spodziewanej wycieczki do „Wiecznego Miasta". Ale stało się inaczej. Nie moja w tem zasługa, lecz tych, którzy hojnie będą (prawdopodobnie) obdzielani za zasługi, bo dużo srebra, ale też i dużo drewna na nasz pułk przypadnie. Wiele rzeczy strasznych widziałem i wiele chwil niezapomnianych na wojnie przeżyłem lecz to, co tutaj się działo, to przechodziło już siły ludzkie, a byłem przecież tytko w przedpieklu, bo prawdziwe piekło było dopiero na górze, gdzie wszystko fruwało w powietrzu. Były Twój przyjaciel przestał być grzecznym chłopcem, a zaczął być grubo niegrzecznym, zwłaszcza, gdy zaczęto się dobierać już i do tych, których niby ochrania międzynarodowa urnowa genewska. Rekursować nie było kogo, bo w programie całej tej zabawy był tzw. Trommelfeuer, więc i nasza szkoła bez względu na to, że ozdobiona czerwonym krzyżem, stanęła w

ogniu najcięższych armat, deszczu granatów i szrapneli. Byliśmy odcięci od świata, a tymczasem coraz bliższy był ogień karabinowy, więc już zdawało się, że … albo-albo. Sale szkolne przepełnione, nie było więc czasu myśleć nawet o tem, że lada chwila może wszystko wylecieć w powietrze. Na szczęście do tego nie doszło, ale za to dom sąsiedni dostał parę szrapneli i lekarz pełniący tam służbę padł na posterunku. Nie należał on wprawdzie do naszego pułku i mało go znałem, ale bardzo mi go żal. My straciliśmy jednego medyka i kilku sanitariuszy, lecz ci byli na linii bojowej. Cała ta bezustanna kanonada trwała bez przerwy dwa tygodnie, lecz, jak wiesz zapewne z dzienników, skończyła się tem, że Włosi zamiast w tryumfie, przyszli do miasta jako jeńcy. Od dwóch dni panuje już względna cisza. Przed nami leży obfity, na tysiące liczony plon strasznej pracy artylerji. Zima tutaj bardzo lekka, więc spodziewać się można, że nie tylko od kul będziemy przenosić się do krainy chwały. Od wczoraj mamy już parę okazów azjatyckich lub czegoś podobnego. Ja dotychczas czuję się zupełnie zdrowym, czego najlepszym dowodem jest tak obszerny list. Czy wszystko to co piszę będzie zrozumiałym dostatecznie nie jestem pewny. Przyjmij jeszcze raz serdeczne podziękowania za fotografie, jeżeli będziesz miał czas, ochotę i temat, to napisz do mnie. Całuję Cię serdecznie, Cioci rączki całuję, ucałowania dla Adasia, załączam też pozdrowienia dla wszystkich we Lwowie. Kochający brat

> Franciszek.

Kilka dni wcześniej napisał do rodziców na odwrocie swojej fotografii wykonanej przez kuzyna Antoniego we Lwowie, którą użył jako pocztówkę. I na tej fotografii podpisał się cenzor.

> Kochani Rodzice!
>
> Posyłam fotografię wykonaną przez Ancia Tabińskiego, którą mi przysłał ze Lwowa. Spodziewam się, że dojdzie za pośrednictwem żandarmerii. Koło mnie bardzo wesoło nie jest, dotychczas zdrów jestem, daj Boże bym mógł za parę dni tak samo donieść. Dotychczas nie dostałem ani słowa z domu, proszę choć parę słów napisać. Całuję rączki kochanych Rodziców, Czesia i Marysię, kochający syn Franciszek.



Pocztówka wysłana do rodziców we Lwowie.

Rok 1915 był rokiem porażek państw Ententy i sukcesów państw centralnych. Dwudziestego dziewiątego października na froncie południowym, który obejmował front austriacko-włoski, bałkański i Dardanele, Bułgarzy odzyskali Veles, a Francuzi zdobyli stację Strumica. Trzydziestego Francuzi wyparli Bułgarów z rejonu rzeki Vardar koło miejscowości Krivdak. Trzydziestego pierwszego Brytyjczycy wzięli udział w operacjach w rejonie Gevgel i Doiran (Macedonia). Pierwszego listopada Włosi odnieśli sukces w bitwach w pobliżu Gorycji i Zagory. Przełęczy Babunia między Uskuli i Prilepem broniło pięć tysięcy Serbów przeciw sześciu dywizjom nieprzyjaciela. Trzeciego listopada Rosjanie odnoszą sukcesy w bitwach koło Siemkowic nad Strypą i w rejonie Dwińska, biorą do niewoli pięć tysięcy

jeńców. Czwartego Turcy atakują pod miejscowością Azac, ale zostają wyparci. Serbowie walczą z Bułgarami pod Izworem w Macedonii. Piątego listopada padł Nisz po trzech dniach ciężkich walk. Niemcy kontrolują dunajsko-ottomańską linię kolejową. Główne siły austriacko-niemiecko-bułgarskie łączą się pod Kriwizem, 35 mil od Niszu. Szóstego niemiecki konwój z amunicją dla Bułgarów i Turków dociera w rejon miejscowości Rusczuk. Siódmego Niemcy dochodzą do miejscowości Kruszewac i przekraczają rzekę Morawę pod Kryliewem.

W dniach, kiedy Franciszek i jego koledzy cieszyli się względnym spokojem, na innych odcinkach frontu południowego miało miejsce wiele ważnych wydarzeń. Po latach można te wszystkie wydarzenia ująć jednym rzutem oka, ale dla frontowego żołnierza było to trudne, a czasem niemożliwe. Wiadomości docierały zza przełęczy górskich z opóźnieniem, jeśli w ogóle docierały. Franciszek miał za zadanie opiekować się rannymi, bał się, że podczas lekkiej zimy szerzyć się będą choroby. Jemu samemu zdrowie dopisywało. Żałował kolegów, którzy zginęli w bitwie, chociaż nie znał ich dobrze.

Ja, czytelnik listów stryjecznego dziadka, mogę bez trudu sprawdzić kalendarz wydarzeń roku 1915, mogę oglądać fotografie ze wszystkich frontów Pierwszej Wojny Światowej. Ale skazany jestem na to, że nigdy nie dowiem się więcej o tym, co przeżywał Franciszek nad rzeką Soczą, co czuł pisząc list do

domu. Nie wiem nawet, czy dotarła do niego odpowiedź od rodziny, ani, czy mógł kiedykolwiek znowu wysłać list do Lwowa.

Przez wiele lat los Franciszka nie był znany nawet najbliższym. Rodzina przekazała z pokolenia na pokolenie tylko tę wiadomość, że stryj Franek nie wrócił z frontu w Dalmacji. W czasie wojny nadeszła krótka wiadomość od administracji wojskowej o tym, że poległ. Żadnych szczegółów, tajemnica wojskowa. Po zakończeniu działań wojennych przyszedł do Józefa Sawickiego przyjaciel Franka, który służył w tym samym pułku i powiedział, że Franek zginął od odłamka pocisku artyleryjskiego, który trafił go w głowę, kiedy klęczał przy łóżku. Do tej informacji prababka, żona Józefa, dodała swoje opowiadanie. Pewnej nocy, jeszcze podczas wojny, a przed oficjalnym powiadomieniem, które nadeszło od władz wojskowych, zbudziła się i powiedziała do męża, by poszedł do swojej kancelarii, bo tam na kanapie śpi Franek. „Właśnie przyjechał i śpi", powiedziała.

Moja wiedza o Franku jest trochę taka, jaką przekazała prababka Helena, czyli graniczy z wiarą w duchy, a trochę taka, jaką przekazali inni członkowie rodziny, u których Franek nie sypiał na kanapie. Mogę ją wzbogacić dzięki temu, że zbiory archiwalne stają się coraz łatwiej dostępne w wyniku zmian politycznych. Kiedy pierwszy raz usłyszałem od drugiej żony pradziadka, Heleny (żyła ponad sto lat, więc zdążyłem odwiedzić ją w Jarosławiu, gdzie mieszkała z córką Marią po Drugiej Wojnie

Światowej), opowiadanie o wizycie Franka w ich domu za Bugiem, to właśnie opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie, a nie lektura dokumentów. I zazdrościłem jej tamtego spotkania.

Zazdroszczę też stryjowi Leszkowi, młodszemu bratu ojca, jego wyprawy nad rzekę Soczę w lecie 2001 roku. Taką wyprawę chciałbym sam przeżyć. Byłaby to wyprawa podobna do tej, którą odbyłem z ojcem w 2005 roku do miejsc, gdzie znalazł się on w czasie Drugiej Wojny Światowej. Żałuję tylko, że Franek nie będzie mi takim samym towarzyszem, jakim był ojciec. Chciałbym pojechać w Dolinę Isonzo nie latem, a późną jesienią, by poczuć wiatr wiejący ku północy w górę rzecznej doliny. Chcę przemierzyć własnymi stopami ulice paru miast w Julijskich Alpach. Chcę zaglądnąć w okna domów, porozmawiać z mieszkańcami. Dzięki poszukiwaniom Leszka wiem, że budynek szkolny, w którym umieszczono polowy szpital został wprawdzie przebudowany, ale stoi na tym samym miejscu. W muzeum w Caporetto jest sporo eksponatów, które stanowią przedmioty pozostawione przez żołnierzy kilku walczących armii. Są dokumenty, a wśród nich listy wysłane z frontu i na front, podobne do listu Franka z 6 listopada 1915 roku. Można w nich znaleźć żywe niegdyś, a dziś uśpione myśli, którymi dzielili się krewni z krewnymi, przyjaciele z przyjaciółmi… ludzie z ludźmi. Myśli wyrażane w różnych językach, ale w każdym z nich przynajmniej trochę zrozumiałe dla osoby, która zna treść

jednego z nich. Myśli te są jak cienie cieni, ale przecież są. Odczytuję te myśli z listu i pocztówki Franka, może odczytam więcej z innych listów, uzupełnię wrażenia, domyślę się szczegółów, utworzę własne tło dla metafor w nich zawartych. Kiedyś podróżowałem do zupełnie obcych miejsc, teraz podróżuję przede wszystkim tam, gdzie rozpoznać mogę znane mi ślady. I dołączyć do nich swój ślad. Dołączyć cień do cienia.



Szkoła w Pevmie (odbudowana). Tu znajdował się w 1915 r. szpital polowy, w którym zginął stryj Franek, fot. Leszka Sawickiego.

Leszek zaczął swoje poszukiwania pisząc listy do austriackich

placówek dyplomatycznych. Ambasada Austrii w Warszawie odesłała jego prośbę o informacje do konsulatu w Krakowie, a ten skierował ją do państwowego archiwum w Wiedniu. Po miesiącu Leszek dostał odpowiedź. Dyrektor Archiwum, Christoph Tepperberg, HR Dr, informował w uprzejmym tonie, że

> Franz Gwido Sawicki, urodzony w 1887 roku w Białym Kamieniu (Złoczów, Galicja), rzymski katolik, podoficer sanitarny cesarsko-królewskiego pułku piechoty nr 80 w stopniu zugsfuehrera, tytularnego feldfebla, poległ dnia 30 listopada 1915 roku w Pevmie (Gorycja) i tam został pochowany na cmentarzu wojskowym.

Leszek odszukał przy pomocy szkła powiększającego niewielki punkt z nazwą „Pevma" widniejący na mapie rejonu Gorycji, na przedpolu Alp, tuż przy granicy włosko-słoweńskiej. Wybrał się tam wraz z żoną samochodem w 2001 roku. Opowiadał, że zdecydowali się opuścić pod Willach zatłoczoną austriacką autostradę i jadąc dalej wąską szosą po kwadransie pokonawszy stromą przełęcz Wuerzenpass, znaleźli się w Słowenii, w kraju dopiero od dziesięciu lat niepodległym, choć od Wielkich Wojen minęło sporo lat. Zatrzymali się na krótki odpoczynek w przydrożnej kawiarni. Dostali olbrzymie porcje jabłkowego strudla. Podczas posiłku wdali się w rozmowę z lokalnymi

mieszkańcami i szybko odkryli, jak miło znaleźć się byłemu Lwowiakowi i Galicjaninowi w kraju, gdzie słowo „fiakier" znaczy „fiakier", a „precel" znaczy „precel". Leszek poczuł się prawie u siebie, tak, jak się czuje w Pradze czy Bratysławie. I nawet w stolicy państwa Franciszka Józefa, w Wiedniu, gdzie podobizny cesarza używane są do dekoracji witryn sklepowych, a przewodnik po pałacu Schoenbrunn objaśnia, że w tym pokoju, na żelaznym polowym łóżku sypiał *der liebe, alte Kaiser.*

Po posiłku i miłych wspomnieniach Leszek i Maria pojechali dalej. Przez godzinę podjeżdżali na przełęcz Wrsic, która rozcina główny grzbiet Alp Julijskich na wysokości 1,611 metrów. Na przełęczy, po uciążliwej jeździe pod górę, czekała na nich kolejna miła niespodzianka. Otworzył się przed nimi obszerny widok na Dolinę Isonzo. Po lewej, na ramieniu stromego łańcucha górskiego Prisojnika (2,547 mnp), zobaczyli czarne wnęki potężnego austriackiego bunkra, pozostałość po linii obronnej, która zatamować miała pochód armii włoskiej w głąb terytorium Austrii. To w tej dolinie Franek udzielał pomocy rannym kolegom, to tutaj słyszał w przerwach pomiędzy kanonadami artyleryjskimi bicie dzwonów dobiegające z pobliskich świątyń. Może zastanawiał się, jak zapewne wielu z jego szpitalnych podopiecznych, komu tego czy innego dnia, który dzwon wybije. Kiedy mógł odpocząć przy swoim polowym łóżku i wpadał w zadumę, wtedy dźwięk dzwonu musiał wydawać się szczególnie donośny. Klękał więc i odmawiał pacierze. Tak samo czynił

zresztą podczas ostrego ostrzału artylerii, gdy każdy kolejny pocisk niósł śmierć i zniszczenie. Po ostrzale podnosił się i biegł z noszami w kierunku okopów. Aż i jego uderzył odłamek pocisku. Franek był jednym z tych lwowskich studentów, których objęła wojenna mobilizacja 1914 roku. Znalazł się w 80 pułku piechoty Najjaśniejszego Pana, który stacjonował we Lwowie, przy ulicy Św. Piotra na Łyczakowie. Lwowski garnizon tuż przed wojną liczył jedenaście tysięcy żołnierzy, a żołnierze w niebieskawych mundurach stanowili element miejskiego folkloru. Krążyły o nich rozmaite wesołe anegdoty. Bataliony obu lwowskich pułków, 30 i 80, znalazły się na włoskim froncie, gdy rząd Italii opowiedział się po stronie Ententy, przeciw monarchiom Austro-Węgier i Niemiec. Była to wojna narodów i przypominała wojny napoleońskie. W armii austro-węgierskiej służyli przedstawiciele wszystkich narodowości cesarstwa, a więc Austriacy, Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowacy, Słoweńcy, Rusini, Bośniacy. Austriaków wspierali Niemcy, a Włochów Francuzi, Anglicy, Amerykanie.

Nad przełęczą Wrsic wiał wiatr, kiedy Leszek i Maria wsiedli znowu do samochodu, by zjechać doskonałą szosą biegnącą w dół ku rzece Jechali pośród alpejskich łąk, mijali domy o brunatnych poddaszach i czterospadowych dachach, typowe w tej okolicy Alp. Rzeka Socza płynęła coraz szerszym korytem ku południowi, tworząc piękne krajobrazy. W górnym biegu jej wody wydawały się turkusowe, w dolnym przybierały barwę malachitu.

Woda kontrastowała z białymi wapiennymi ścianami, które odbijały się dokładnie w ciemnym lustrze wszędzie tam, gdzie nurt był spokojny. Czasem nurt był jednak tak spieniony, że biel wody i biel skał zlewała się razem, chyba, że czeluście były zupełnie zasłonięte przed wzrokiem ciekawych podróżnych. Dziś Socza jest popularnym rejonem spływów kajakowych, odbywają się też na rzece międzynarodowe zawody wodnych sportowców. Leszek i Maria widzieli wielu entuzjastów takich sportów, jak odziani w kombinezony, kaski i kamizelki przygotowywali się do spływu, albo walczyli z nurtem rzeki. Ich stroje w niczym nie przypominały wojskowych mundurów cesarsko-królewskiej armii, jednak poszukiwaczom wojennych śladów sportowe kombinezony kojarzyły się właśnie z mundurami. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat… nad grobami wieje wiatr", nucili sobie jadąc samochodem w dół doliny.

Front odległej w czasie wojny rozciągał się od okolic Montefalcone, położonego przy ujściu Soczy do Adriatyku, czyli nieopodal malowniczego miasta Triest, aż do rejonu Trentino. Cmentarzy wojennych jest sporo, są zwykle ukryte w zagajnikach, a wśród zabudowań miejskich znaleźć można muzea poświęcone tej jednej z największych i najdłuższych bitew w historii świata. Leszek i Maria odwiedzili kilka cmentarzy, kilka muzeów. Przywieźli zdjęcia wielkiego mauzoleum włoskiego w Oslaviji, między innymi zdjęcia z wnętrza obszernej rotundy wieńczącej szczyt wzgórza, ku któremu wiodą szerokie kamienne

schody obramowane ścianami wysokich cyprysów. Tam też, osłonięci przed podmuchami wiatru, w panującej wokół zupełnej ciszy, zapalili znicze w imieniu rodziny Sawickich. Modlitwę poświęcili nie tylko pamięci Franciszka, ale i setek tysięcy ofiar krwawych bojów, które toczyły się aż do października 1917 roku, gdy ofensywa austriacka i niemiecka powstrzymała umiarkowane zwycięstwa Italii i jej postępy terytorialne osiągnięte w jedenastu poprzednich bitwach. Tę ofensywę poprzedził atak gazowy pod Bevecem, który doprowadził do przerwania frontu i panicznego odwrotu armii włoskiej. Ten odwrót opisany został na kartach „Pożegnania z bronią”.



Oslavija. Leszek Sawicki zapala znicz w imieniu rodziny Sawickich.

Nim Leszek i Maria pożegnali się z zieloną doliną Isonzy, znaleźli się w miejscowości Logu, niedaleko krasowych źródeł rzeki. Nad okolicą górują wapienne szczyty Rombom (2,208 mnp) i Czukla (1,767 mnp). W tej zagubionej w górskiej okolicy miejscowości jest cmentarz z 859 mogiłami żołnierzy cesarsko-królewskiej armii. Wielu z nich nie zostało nigdy zidentyfikowanych,

ustawiono nad nimi bezimienne krzyże. Większość tych żołnierzy poległa 24 października 1917 roku, w decydującym dniu bitwy, podczas ataku na włoskie pozycje pod Czyklą. Bitwa rozegrała się pod osłona śnieżnej burzy, więc w warunkach, które sprzyjały atakującym. Najwięcej poległych było żołnierzami 59 salzburskiego pułk piechoty, ale i wśród nich znaleźć można słowiańskie nazwiska. Nagrobki Węgrów przystrojone są wstążkami o narodowych barwach, co świadczy o pięknej, nieustającej pamięci rodaków. Polskich wstążek nie było na żadnym cmentarzu. Na cmentarzu w Bovecu nie ma tablic z nazwiskami, groby są puste, bo szczątki włoskich żołnierzy zostały przeniesione do wielkiej kostnicy w Kobaridzie. Najlepiej zadbany cmentarz Leszek i Maria odnaleźli w Ukancu, na zachodnim brzegu jeziora Bohinskiego. Czytelne tabliczki na krzyżach pozwalają bez trudu zidentyfikować żołnierzy z obu lwowskich pułków.

Kobarid tro niewielkie miasto z kościołem o szpiczastej wieży, z hotelem i kilkoma restauracjami. W literaturze znane jest lepiej pod nazwą Caporetto. Leszek i Maria stwierdzili, że literackie opisy sprzed lat niewiele różnią się od dzisiejszych widoków. Niskie domy z „Pożegnania z bronią” i dziś zdobią balkony tonące w kwiatach. Wąskie, kręte ulice wypełnia co pół godziny głos kościelnego dzwonu. Nie ma tylko fontanny na zapleczu jednego z domów przy rynku opisanej w książce. Muzeum w Caporetto mieści wiele eksponatów z pól bitewnych. Można

zobaczyć broń, amunicję, ulotki, listy, fotografie i szkice sytuacyjne. Hełm podziurawiony dla odcedzenia makaronu, obok denko menażki, też podziurawione, by umożliwić przesiewanie parmezanu. Na zdjęciach ogrom zniszczeń: ruiny domostw, kręte linie okopów z tysiącami poległych, jeńcy wojenni i ewakuowana ludność cywilna. Jedną z sal wypełnia ogromna mapa plastyczna walk nad Soczą. Obok schron skalny, w którym umieszczono w pozycji siedzącej woskową figura żołnierza. Jest to młody człowiek we włoskim mundurze. Siedzi pod skalną ścianą i pisze list.

Włosi byli gospodarzami doliny Isonzo w latach 1919-1947. Wybudowali na wzgórzu nad Caporetto wielki panteon, w którym zgromadzono szczątki żołnierzy. Jadąc w dół doliną rzeki dojeżdża się w końcu do wsi Pevma, czyli Piume, którą włoskie archiwum wskazało jako miejsce pochowania Franciszka. Wieś to właściwie podmiejskie osiedle Gorycji, miejscowości, w której wille i pałace posadowione na wzgórzach toną w zieleni ogrodów. W samym Piume jest kilkanaście domów, kościół i szkoła. Budynek szkolny to nie ten sam, w którym w czasie wojny mieścił się szpital, ale stoi na tym samym miejscu, za tym samym murem. Leszek i Maria dotarli do Piume po południu. Kościół znaleźli zamknięty, plebanię bez znaku życia. Szukali kogokolwiek, z kim mogliby zamienić parę słów. Zapukali do drzwi jednego z domów na zapleczu kościoła i zostali zaproszeni na kawę. Wkrótce odkryli, że dla trzech pokoleń mieszkańców

tego domu, łącznie z babcią w wieku lat 78, historia bitewna jest niemal rodzinną historią. Domownicy opowiadają o walkach, pokazują zdjęcia. Mówią, że poległych żołnierzy armii austriackiej grzebano po przeciwnej stronie szosy. Szkoła i kościół zostały zburzone podczas wojny, dopiero później je odbudowano. Jedno ze zdjęć w rodzinnym albumie zostało zrobione podczas pogrzebu żołnierza na cmentarzu w Pevme. Obok trumny stoi kapelan, koledzy. Dalej ustawiono szereg krzyży ze stożkowymi okapami. Cmentarz wojskowy został zlikwidowany przez Włochów w latach 1936-1937, szczątki przeniesiono do panteonu w Oslaviji, jeden kilometr dalej. To w Oslaviji armia generała Cadorny starała się przebić na wschód, omijając miasto Gorycja. Oslaviji broniły oddziały austriackiej piątej armii, a wśród nich 30 i 80 pułki piechoty ze Lwowa. W albumie wydanym w Słowenii przeczytać można, że trzecia i czwarta bitwa nad Soczą toczone były na przedpolu Gorycji, na linii obronnej Podgora-Pevma-Olavija-Sabotin. Najkrwawsze walki stoczono o wzgórze nr 153. Walki toczyły się według schematu: zmasowany atak artylerii, kontratak, ogień zaporowy wroga, nieco spokoju, poczem zmasowany ogień artylerii drugiej strony. Okopy zdobywano w walkach wręcz, z użyciem noży, saperek, w czym celowały zwłaszcza oddziały dalmatyńskie i bośniackie. Włosi używali nabitych gwoździami buzdyganów. W tych walkach pozycyjnych tracono lub zdobywano po kilkaset metrów kwadratowych terenu.

> Może wrócę ciężko ranny,
>
> lub dostanę krzyż drewniany, może ma mogiła stanie
>
> gdzieś w wąwozie na Bałkanie,

nucił stryj Leszek pokazując mi album i komentując fotografie. I czytał dalej. W nocy na 30 listopada 1915 roku generał Zeidler dowodzący 58 austriacka dywizją, zluzował pięć batalionów umęczonych obrońców Oslaviji. Włosi zaprzestali tej nocy ataków z powodu trudnych warunków atmosferycznych, ale ich artyleria dalej strzelała. Dziś na szczycie osławionego wzgórza nr 153 wznosi się otoczona cyprysami wielka kamienna rotunda. Wśród żołnierzy włoskich spoczywa też kilkuset żołnierzy armii austro-węgierskiej. O nich właśnie Leszek zapytał starszego mediolańczyka, kustosza muzeum. W spisie poległych, który przyniósł kustosz nie było jednak nazwiska Franka. Leszek dostał włoski formularz adresowany do Ministrero della Difesa, by mógł skorzystać z niego tak, jak korzystał z uprzejmości austriackich urzędników. Ale poszukiwania te nie przyniosły żadnych rezultatów. Przed wejściem do rotundy stoją dwa działka polowe, może jedno z nich strzeliło w 1915 roku w kierunku szkolnego budynku w Pevme-Piume? Leszek i Maria wrócili do kraju nie spiesząc się. Jechali pod pogodnym, błękitnym niebem ostatnich dni lata. Przejeżdżali znowu przez białe Alpy, mijali intensywnie

zielone łąki w dolinach i spokojne, małe osady. Pamiętali o małej osadzie Pevme-Piume tonącej w oleandrach i winorośli. Pamiętali twarz młodego człowieka z krótko przystrzyżonymi włosami, ze starannie zaznaczonym przedziałkiem po lewej stronie. Oczy przykrywały ciężkie, a może tylko zmęczone powieki, spod których patrzyły zamyślone oczy.